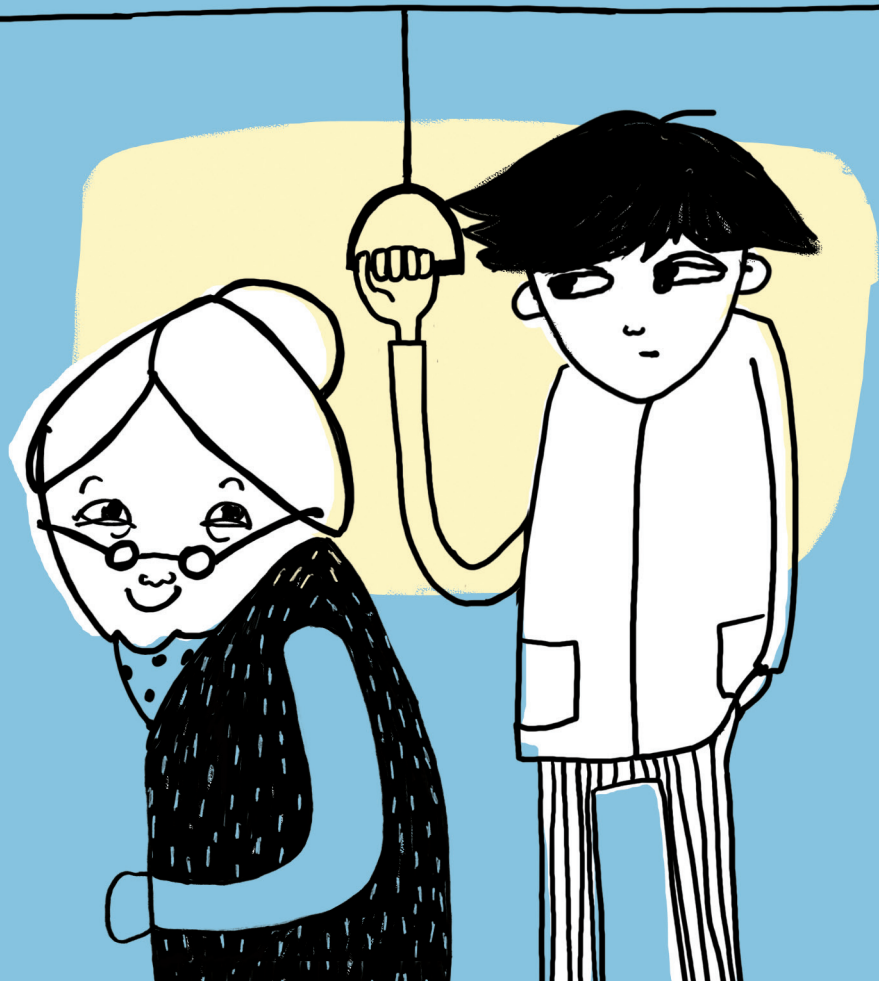


PAWEŁ BERĘSEWICZ

SYSTEM



ŻYCZLIWOŚĆ wyraża się dobrą wolą i gotowością do pomocy innym. Wynika z sympatii i zaufania do ludzi, z przekonania, że są dobrzy, a ich potrzeby ważne. W tle tej wartości leży też wiara, że możemy na siebie wzajemnie liczyć. Postawa życzliwości ma swoje źródło w wychowaniu człowieka, w doświadczeniu przez niego w dzieciństwie empatii, szacunku i dobrej woli ze strony bliskich i otoczenia. Uczymy się jej przez obserwację, doświadczenie i naśladowanie. Wchłaniamy ją z klimatu domu, środowiska, z dzieł kultury. Ponieważ w świecie ludzi życzliwych znacznie lepiej się żyje, ważne jest, byśmy świadomie okazywali życzliwość, dostrzegali potrzeby innych i właściwie na nie odpowiadali – z dobrą wolą, taktem i cierpliwością.

Witam szanownego sąsiada! – zawołał przy windzie Kowalski spod osiemnastki.

Uśmiechnąłem się serdecznie i zapytałem o zdrowie żony i dzieci. Żona leżała z grypą, więc wyraziłem współczucie i przekazałem życzenia szybkiego powrotu do zdrowia. Dzieciom na szczęście nic nie było, a jedno nawet ostatnio wygrało zawody w biegach przełajowych.

– Brawo! – pochwaliłem. – Zuch dzieciak! To po tacie taka kondycja?

– No cóż, biegało się kiedyś – rozpromienił się Kowalski, a kiedy przyjechała winda, otworzył drzwi i przytrzymał, żebym mógł wsiąść. – Proszę przodem, sąsiedzie! – powiedział. – Pan z bagażem.

Bagaż składał się tylko z niewielkiej teczki, w której nosiłem papiery do pracy, ale skoro Kowalski był tak uprzejmy, wszedłem pierwszy. Odwdzięczyłem się za to na dole. Przytrzymałem przed nim nie tylko drzwi windy, ale też te przy wyjściu z klatki schodowej.

– Miłego dnia, sąsiedzie – powiedział przed blokiem.

– Panu też – uśmiechnąłem się ciepło. – Tłumu klientów życzę. – Kowalski miał sklep z elektroniką.

Chciał się jeszcze jakoś zrewanżować za moje miłe słowa, ale już szedłem w stronę samochodu, zadowolony, że moja grzeczność na wierzchu.

– Halo, panie sąsiedzie! – usłyszałem nagle, a kiedy się odwróciłem, Kowalski biegł w moją stronę. Rzucił mi się niemal do stóp i lekko zdyszany podniósł z ziemi kluczyki do samochodu. – Wypadły panu – wysapał.

Teraz ja miałem u niego dług. Podziękowałem wylewnie, uśmiechając się przy tym jak najserdeczniej.

– A może pana podwieźć? – zaproponowałem.

Życzliwość

Wykręcał się, że ma swój samochód i nie chce sprawiać kłopotów.

– Żaden kłopot – nalegałem. – W miłym towarzystwie zawsze przyjemniej.

Nie chciał odmawiać mi przyjemności. Poza tym, jak powiedział, po co jechać w dwa auta, skoro można w jedno. Mniejszy ruch w mieście i od razu wszystkim lepiej się żyje.

– Piękny wóz – pochwalił uprzejmie, siadając obok mnie.

Uśmiechnąłem się z wdzięcznością i poradziłem, żeby cofnął sobie fotel.

– Będzie miał pan więcej miejsca na nogi – dodałem.

Kiedy Kowalski majstrował przy dźwigni pod siedzeniem, włożyłem kluczyk do stacyjki i przekręciłem. Silnik ani drgnął.

– Ojjojjoj! – zatroskał się Kowalski. – Coś z akumulatorem chyba. Pan otworzy maskę, sąsiedzie. Zobaczę, co tam się dzieje.

– Ubrudzi się pan – zaprotestowałem. – Zadzwońię po taksówkę, a do naprawy wezwę kogoś po pracy.

Ale Kowalski uparł się, żeby naprawiać. Zdjął marynarkę, podwinął rękawy, nachylił się nad silnikiem i zaczął coś przy nim dłubać. Dłubał i dłubał, a ja coraz bardziej nerwowo zerkałem na zegarek. W końcu wychylił się zza kłapy i oświadczył, że musi skoczyć do domu po jakieś narzędzia czy przewód.

– Nie, nie, panie sąsiedzie! – zawołałem trochę zbyt nerwowo i wyskoczyłem z samochodu. Wyglądał na dotkniętego, więc czym prędzej dodałem: – Proszę sobie nie zawracać głowy!

Chciał obśmiać to zawracanie, ale chyba zdał sobie sprawę, która godzina, bo szerokim gestem wskazał drugi koniec parkingu.

– To może pojedźmy moim – zaproponował z zapałem.

Czułem, że zdobywa przewagę, ale było zbyt późno na inne kombinacje. Siadłem w jego sportowym wozie, a na dodatek wziąłem tic-taka, którego mi podsunął, i skorzystałem z klimatyzacji. Jakby mało mu było jeszcze tych wszystkich miłych gestów, Kowalski uparł się, że nie wysadzi mnie przy stacji metra, jak się początkowo umawialiśmy, tylko podwiezie pod samą pracę. Kiedy wysiadałem, podał mi rękę i spytał:

– Podjechać po sąsiada, wracając? O której sąsiad kończy?

– A pan? – upewniłem się.

– O piątej.

Z nieco udawanym żalem powiedziałem, że ja o szóstej, na co on machnął ręką i stwierdził, że chętnie poczeka godzinę.

Do pracy zdążyłem w ostatniej chwili. Recepcjonistka w biurze uśmiechnęła się przyjaźnie i chyba miała ochotę na kilka sympatycznych słówek o pogodzie albo czymś równie nieważnym, ale szybko przemknąłem obok jej lady, żeby na czas być u siebie. Na moim biurku czekała dymiąca herbata. Rozejrzałem się pytająco po pokoju.

– Na dobry początek dnia. – Pomachał mi Michał z działu trzeciego. – Nie byłem tylko pewien, czy słodzisz.

To mi przypomniało, że zostawiłem w domu ciastka, które kupiłem dla kolegów z biura. Fatalnie zaczynał się ten tydzień!

W internetowym wydaniu gazety oczywiście najwięcej miejsca zajmował niedzielny mecz. Analizy, zdjęcia, opinie i słowa otuchy dla naszych. Cóż, przegraliśmy – podsumowywał swój artykuł jeden z dziennikarzy – ale to znaczy, że tamci wygrali. Czyż to nie miłe, że ktoś dzięki nam się cieszy? W komentarzach pod tekstem internauci prześcigali się

Życzliwość

w serdecznościach. „Każdemu się zdarza, chłopaki”. „Następnym razem wygramy”. „Raz się wygrywa, raz się przegrywa”. „Dzięki za wielkie emocje, kochani piłkarze”, napisałem i poczułem się trochę lepiej.

Szef wezwał mnie koło południa. Szedłem z duszą na ramieniu, ale po drodze udało mi się posłać kilka uśmiechów sekretarce, księgowej i serwisantowi drukarek. Oni odwzajemnili mi się tym samym i w takiej serdecznej eskorcie dotarłem pod słynne brązowe drzwi. Zapukałem nieśmiało i zacisnąłem zęby, żeby nie dzwoniły zbyt głośno.

– Proszę! – usłyszałem i wszedłem.

Za rozległym biurkiem stał tyłem wyściefany fotel, a znad oparcia wystawała dyrektorska łysinka.

– Dzień dobry, panie prezesie – powiedziałem cicho.

– A, to pan! – burknął szef w stronę panoramy miasta za przeszkloną ścianą. – Mamy z panem problem, panie kolego!

Poczułem, jak miękną mi kolana, i już miałem zacząć przeproszać, kiedy fotel obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i popatrzyła na mnie rozpromieniona rumiana twarz.

– Proszę, proszę, niech pan siada, kolego! – serdecznie zaprosił dyrektor, wskazując mi krzesło po bliższej stronie biurka. – Wystraszył się pan? Przepraszam, nie mogłem się powstrzymać. Problem jest taki, drogi kolego, że pan ostatnio zbyt ciężko pracuje. Chciałbym to panu jakoś wynagrodzić. Czy tysiąc złotych podwyżki będzie wystarczającą nagrodą za pański trud i poświęcenie?

Wychodząc od szefa, ważyłem tyle co urodzinowy balonik. Gdyby nie klucze i portfel w kieszeni, frunąłbym przez korytarz i trącał głową sufit. Klepnąłem w plecy serwisanta, rzuciłem komplement sekretarce i wpadłem do łazienki, żeby

odetchnąć głęboko. Nachyliłem się nad umywalką i chlapnąłem w twarz zimną wodą. Parsknąłem kilka razy i już miałem sięgać po papierowy ręcznik, kiedy nagle zastygłem zgięty wpół, a prawa ręka bezwiednie powędrowała w okolicę krzyża.

– Terminal! – szepnąłem ze zgrozą.

W dyskretnej ciszy łazienki pikanie urządzenia brzmiało jak policyjna syrena na ulicach śpiącego miasta. Nerwowo przebiegłem w myślach cyferki kalendarza. Piętnasty! A głowę bym dał, że dopiero zaczął się miesiąc! Drżącymi palcami wygrzebałem terminal z pokrowca na pasku i spojrzałem na wyświetlacz. Czerwony pulsujący napis: „KONIEC ABO-NAMENTU!!!” nie pozostawiał złudzeń. Jak mogłem do tego dopuścić? Jeszcze nigdy nie przegapiłem terminu! To przez te stesy w pracy! I co teraz będzie? Poczułem przyływ paniki i dopiero kolejne chluśnięcie w twarz pomogło mi się wziąć w garść.

– Spokojnie! – mówiłem do siebie. – Wszystko będzie dobrze. Pójdiesz do kasy, zapłacisz i po krzyku.

Niestety, rzecz nie była aż tak prosta, jak próbowałem sobie wmówić. Po pierwsze nie miałem pojęcia, gdzie jest najbliższa kasa abonamentowa. Zawsze do tej pory płaciłem w terminie, a do tego wystarczył zwykły przelew z domu. Dlaczego przeterminowani muszą swoje zaległości regulować osobiście, nigdy nie potrafiłem zrozumieć.

Owinąłem terminal kilkoma papierowymi ręcznikami, żeby trochę wyciszyć pikanie, ale całkiem go stłumić nie dałem rady. Zakląłem ze złości, choć oczywiście zdawałem sobie sprawę, że musi pikać. Inaczej przeterminowanych nie dałoby się odróżnić od porządnie płacących. Mógłby taki przeterminowany naciągnąć porządnego na jakieś miłe gesty.

Życzliwość

Nauśmiewałby się taki porządny, napomagał, nabył sympatyczny, święcie przekonany, że rośnie mu saldo na abonamentowym koncie. A tu nic z tego. Kicha. Zero złotych. Przychodzi termin, porządny myśli, że jest na plusie, i nawet nie sprawdza, a tu nagle jego terminal: Piiip-piiip! Nie miałem wątpliwości, że przeterminowanemu musi pikać. Tylko dlaczego dla mnie nie można było zrobić wyjątku?

Ostrożnie wyszedłem na korytarz. Chciałem ukradkiem przemknąć się do pokoju, ale z pikającym terminalem nie ma co marzyć o żadnych ukradkach.

– Może tak ciszej, co? – warknęła sekretarka.

W pokoju wszyscy podnieśli głowy i łypnęli na mnie ponuro.

– Nie wiecie, gdzie jest najbliższa kasa? – spytałem.

Udali, że nie słyszą.

– Nie wiesz? – Podszedłem do Michała z działu trzeciego.

Wzruszył ramionami i burknął:

– W internecie se sprawdź!

Sprawdziłem. W całym mieście była tylko jedna. Oczywiście tak daleko, że dalej nie można. Nie jeździł tam żaden autobus, niech sobie przeterminowani chodzą piechotą.

– Muszę wyjść – powiedziałem do Michała.

– Całe szczęście, bo wytrzymać się nie da.

– Gdyby szef pytał, to powiedz, że zaraz wrócę – poprosiłem.

– Sam se powiedz!

Cóż było robić, sięgnąłem do portfela i odliczyłem kwotę. Poza abonamentem miłe gesty kosztowały fortunę.

– Trzeba było płacić w terminie – mruknął Michał, chowając banknoty do kieszeni.

Do windy udało mi się wsiąść dopiero za drugim razem. Z pierwszej wypchnął mnie brzuchem jakiś gruby jegomość

z trzeciego piętra. Przy wyjściu na ulicę o mało nie rozbiłem sobie nosa o szklane drzwi, które portier puścił, udając, że mnie nie widzi. Na postoju taksówek jakaś kobieta chciała się wepchnąć przede mnie, ale byłem silniejszy i wdarłem się jako pierwszy. Cóż z tego, skoro taksówkarz stwierdził, że „pikaczy nie wozi”, i dość przekonująco doradził „wypad z gabloty”. Wściekły i zawstydzony wsiałem do autobusu. Kiedy jednak przymierzałem się do jednego z wielu wolnych miejsc, miny najbliższych współpasażerów wybiły mi z głowy siadanie. Wcisnąłem się więc jak najgłębiej w kąt z tyłu pojazdu, gdzie silnik warczał najgłośniej i trochę zagłuszał pikanie. Przez chwilę czułem na sobie zgorszony wzrok kierowcy odbity w lusterku na przedniej szybie, ale w końcu syknęły zamykane drzwi i autobus ruszył. Odetchnąłem z ulgą. Jakie to szczęście, że mamy System, myślałem po drodze. Po prostu zapłacę w kasie i cały ten koszmar się skończy.

Wyobraziłem sobie czasy sprzed Wielkiej Reformy i aż ciarki przeszły mi po plecach. Jak ci ludzie w ogóle mogli żyć? Nie było abonamentów, rynek miłych gestów w ogóle niezorganizowany – mogłeś albo płacić gotówką, albo wymieniać gest za gest. Skutki nieraz widziałem w starych dokumentalnych filmach: ponure twarze na ulicach, obelgi w telewizyjnych dyskusjach, wściekłe ujadanie na internetowych forach, zaciśnięte pięści na marszach z pochodniami. Gdyby nie System Abonamentowy, nie wiem, w jakim składzie dotrwalibyśmy do dzisiaj. A tak – wszystko działa jak w szwajcarskim zegarku. Każdy przy urodzeniu obowiązkowo otrzymuje terminal z przedpłaconą kwotą na dobry początek. To niewielkie urządzenie wycenia i rejestruje wszystkie miłe gesty. Zrobisz dla bliźniego coś miłego i natychmiast z konta bliźniego przepływa na twoje odpowiednia

suma. Bliźni się do ciebie uśmiechnie i pieniądze wędrują z powrotem. Raz w miesiącu wystarczy sprawdzić stan konta. Jeśli jesteś na plusie, masz problem z głowy. Jeśli na minusie – wystarczy zasilić rachunek brakującą kwotą. I tyle. Spojrzałem przez okno. Autobus mijał właśnie zielony skwer niedaleko dworca. Dwóch jegomościów witało się serdecznie przy kiosku z gazetami, uprzejmy młodzieniec pomagał jakiejś kobiecie wnieść wózek na schody urzędu, a policjant pokazywał uszczęśliwionym dzieciakom, jak z bliska wygląda lizak do zatrzymywania kierowców. Działo się? Działo się – chyba że jakiś dureń zapomniał o terminie!

Wysiadłem na ostatnim przystanku, a razem ze mną upiorne pikanie. Czyjś pies, najwyraźniej wyprowadzony z równowagi nieprzyjemnym dźwiękiem, rzucił mi się do nogi i obszczekał ze wszystkich stron.

– Co mi pan psa denerwujesz? – oburzyła się właścicielka.

Machnąłem tylko ręką i ruszyłem ulicą, której nazwę, jak mi się wydawało, pamiętałem z mapki w internecie. Pierwszy raz byłem w tej części miasta. Rozglądałem się za jakąś strzałką lub tabliczką, ale niczego takiego nie znalazłem. Wysoka kamienica, za nią druga, trzecia, dziesiąta – wszystkie podobne do siebie, a żadna nie ta co trzeba. Skręciłem w lewo, w prawo, jeszcze w którąś i jeszcze. Po chwili nie byłem pewien, czy wiem, dokąd iść, a po następnej już byłem pewien, że nie wiem.

– Przepraszam, nie orientuje się pan przypadkiem, gdzie jest kasa wpłat przeterminowanych? – zapytałem jakiegoś przechodnia, a ten w dość dosadny sposób dał mi do zrozumienia, jak mało go to obchodzi.

Pokręciłem się jeszcze chwilę po okolicznych uliczkach, aż w końcu zrezygnowany stanąłem na chodniku

i rozejrzałem się bezradnie. Od przeraźliwego pikania pulsowało mi w skroniach, a pod granatowym garniturem ściekały strużki potu. Wyciągnąłem komórkę, żeby zadzwonić do pracy i zapytać o drogę, ale porzuciłem ten zamiar, kiedy przypomniałem sobie cenę miłych gestów poza abonamentem. Załamany przysiadłem na betonowym murku, a resztki energii uchodziły ze mnie jak z dziurawego dmuchanego materaca.

– Coś panu jest? – usłyszałem nagle i poderwałem głowę.

Zatrzymała się przy mnie jakaś starsza pani – maleńka, zaszuszona, ubrana w szare palto i czarny kapelusik z filcowym kwiatkiem. Obok niej stała ogromna skórzana waliza, w której kobiecina, odpowiednio zgięta, z powodzeniem by się zmieściła. Patrzyła na mnie uważnie i czekała na odpowiedź.

– Nie widzi pani, że pikam? – burknąłem.

– Widzieć to nie widzę – uśmiechnęła się. – Ale nie słyszeć się nie da. Mogę panu w czymś pomóc?

– Ja pikam! – powtórzyłem dobitnie. – Pikacz jestem! Przeteterminowany! Dotarło?

Pokręciła głową niezrażona i tonem cierpliwego nauczyciela powiedziała:

– Nie, nie, kochanieńki. Ja nie pytam, kim pan jest, tylko czy mogę panu pomóc.

Przyjrzałem się jej uważnie. Czyżby chciała mi sprzedać jakiś miły gest? – pomyślałem. Pewnie liczy, spryciara, że uda jej się naciągnąć pikacza. I może nawet ma rację, przyznałem cierpko. Miałem już stanowczo dość szukania.

– Wie pani, gdzie jest kasa wpłat przeterminowanych? – spytałem.

Zmartwiła się. Nie wiedziała. Podobno nie była stąd. Przyjechała tylko na kilka dni. Właśnie szła na postój taksówek,

Życzliwość

żeby pojechać na dworzec. Aha! – prychnąłem w duchu. Akurat! Próbowwała podbić cenę, byłem tego pewien. Sprytnie się targowała.

– Trudno – mruknąłem i wstałem z murku, licząc, że to odświeży jej pamięć.

Rzeczywiście coś jej się przypomniało. Rozpromieniła się nagle i powiedziała:

– Wiesz co, kochanieńki? Tam za rogiem widziałam jakieś biuro i mnóstwo takich, którym też coś pika. Straszny hałas robili. Może oni pomogą.

A więc tuż za rogiem! – westchnąłem w myślach. Mogłem przejść jeszcze tych parę kroków i sam bym trafił! Trudno, najważniejsze, że w końcu znalazłem.

– Dziękuję – mruknąłem i czekałem, aż poda cenę, ale ona uśmiechnęła się tylko i powiedziała:

– Nie ma za co, kochanieńki. Powodzenia.

Patrzyłem na nią pytająco, a ona na mnie z coraz bardziej zdziwioną miną, aż w końcu pomachała mi na pożegnanie i odwróciła się na pięcie. Plastikowe kółeczka walizy zaturkotały na płytach chodnika. Osłupiały odprowadzałem ją wzrokiem i za nic nie mogłem pojąć, co się stało. Odeszła z pustymi rękami? Dlaczego? Zapomniała? Ze starości? A może jednak do niej nie dotarło, że jestem przeterminowany i że nic jej ode mnie nie spłynie? Nie chciałem wyjść na oszusta. Kradzież miłych gestów to czyn haniebny, nie mówiąc już o tym, że niezgodny z prawem.

– Proszę pani! – zawołałem i dogoniłem ją czym prędzej.

Zatrzymała się zaskoczona.

– Ja bardzo przepraszam – powiedziałem. – Nie wiem, czy pani sobie zdaje sprawę, że mój terminal jest zablokowany i nic pani nie dostanie.

– Jaki terminal? – zapytała wystraszona, czym jeszcze bardziej zbiła mnie z tropu.

– No... mój terminal – bąknąłem i wyciągnąłem piszczące pudełeczko z pokrowca na pasku. – Zapomniałem go doładować. Dlatego pika. Nie działa. Na pani terminalu nie będzie żadnej wpłaty. Pani miły gest...

– Ja nie mam żadnego terminalu! – przerwała mi takim tonem, jakbym ją oskarżył o jakieś nieczne sprawki. – Nie mam pojęcia, o czym pan mówi!

– Jak to nie ma pani terminalu? – zawołałem. – Wszyscy mają!

– Przecież mówiłam panu, że nie jestem stąd.

To jej chyba przypomniało o czekającej ją podróży, bo zerknęła na zegarek i nerwowo szarpnęła walizkę na kółkach.

– Przepraszam, ale trochę się śpieszę – powiedziała. – Nie chciałabym spóźnić się na pociąg.

Do postoju taksówek miała jeszcze dobre sto metrów, a olbrzymi bagaż ledwie toczył się po chodniku. Delikatnie wyjąłem jej z dłoni uchwyt walizki i razem podeszliśmy do taksówki. Podziękowała, podała mi rękę i wsiadła do samochodu. Taksówkarz szamotał się jeszcze z bagażem, chował go z tyłu, zamykał klapę, a ja, choć powinienem już iść, stałem na chodniku i biłem się z myślami. Bardzo mnie korciło, żeby o coś ją spytać, ale nie miałem śmiałości. W końcu zebrałem się na odwagę i zapukałem w okno. Spuściła szybę i popatrzyła pytająco.

– Po co pani mi pomogła? – wypaliłem.

– Nie rozumiem – zdziwiła się.

– Ja bez terminalu, pani bez terminalu. Po co?

– Tak po prostu – powiedziała rozbawiona, jakbym zadał jakieś wyjątkowo dziecinne pytanie.

Życzliwość

Tak jak się spodziewałem, biuro, o którym wspomniała staruszka, okazało się tym, czego szukałem. Tłoku w kasie wpłat przeterminowanych na szczęście nie było, ale uporczywe pikanie zwielokrotnione nawet w tak niewielkim stopniu mocno dawało się we znaki. Pobrałem numerkę, odczekałem na swoją kolej i wyluszczyłem sprawę w okienku.

– Co tak zmiął ten numerkę? – burknęła do mnie kasjerka.

Zrobiłem przepraszającą minę i cierpliwie czekałem, aż sprawdzi co trzeba w komputerze.

– Piętnaście złotych! – szcęknięła w końcu.

Wyjąłem kartę kredytową i próbowałem ją wetknąć do właściwej szczeliny, ale nie chciała wejść.

– Jak pcha tę kartę? – warknęła pani z okienka.

Włożyłem drugą stronę i tym razem się udało. Wystukałem kod i odetchnąłem z ulgą. Terminal na moim pasku przestał pikać.

– Uprzejmie dziękuję za dokonanie transakcji – zaszczebiotała kasjerka. – Zapraszamy ponownie. Czy wezwać dla szanownego pana taksówkę?

Kowalski, tak jak obiecał, czekał po pracy przed biurem. Podziękowałem serdecznie, że się tak fatygował i tyle czasu przeze mnie zmarnował, ale zapewniał, że się w ogóle nie nudził, a poza tym czego się nie robi dla kochanych sąsiadów. Rozsiadłem się wygodnie w jego sportowej toyocie, oparłem głowę na miękkim zagłówku, zamknąłem oczy i mimowolnie westchnąłem.

– Co? Ciężki dzień w pracy? – zapytał Kowalski.

– Oj, żeby sąsiad wiedział! – mruknąłem. – W życiu by pan nie uwierzył, co mi się dzisiaj przytrafiło.

– No co?

– No, niech pan sobie wyobrazi – zrobiłem krótką pauzę dla lepszego efektu – że spotkałem pewną starszą panią, która nie miała terminalu!

– A co się stało z jej terminalem? – zawołał zdumiony Kowalski.

– Nic się nie stało. Nigdy go nie miała. W ogóle nie wiedziała, co to takiego.

– E, tam! Wszyscy mają terminale.

– A ona nie! – powtórzyłem. – Nie była stąd po prostu.

– I co sąsiad zrobił?

– Nic. – Wzruszyłem ramionami. – Odprowadziłem ją na postój taksówek, pomogłem nieść walizkę i zatrzasnąłem za nią drzwi.

Kowalski tytnął na mnie zza kierownicy i z politowaniem pokręcił głową.

– Wie pan co, sąsiedzie? – powiedział. – Ja już sobie w tym miesiącu tyle napykałem na konto, że stać mnie na szczerłość. Zmyśla pan jak, za przeproszeniem, ten pajac z nosem. Ona nie ma terminalu, a pan jej walizkę niesie? Panie sąsiedzie! To się przecież w ogóle kupy nie trzyma!